

# Wprowadzenie

Torby spakowane, prowiant przygotowany. Byłem gotów na przygodę. Pewnego letniego popołudnia wyciągnąłem Drew, swojego przyjaciela, dość sceptycznie nastawionego do mego pomysłu, na wyprawę, w trakcie której mieliśmy odkryć nowe światy i – miałem nadzieję – odnaleźć szczęście. Zawsze żywiłem przekonanie, że szczęście czai się tuż za rogiem i chodzi jedynie o to, by znaleźć ten właściwy róg.

Gdy tylko wyruszyliśmy, Drew zaczął pękać. Prosił, żebyśmy zawrócili, ale ja obstawałem przy swoim, pędzony trudną do pohamowania ciekawością, co też nas czeka. Niebezpieczeństwo? Magia? Musiałem się tego dowiedzieć i po dziś dzień jestem pewien, że dotarłbym tam, gdzie chciałem, gdyby tylko policjanci patrolu z Baltimore nie wmieszali się w nasze plany i nie doszli do wniosku – nazbyt pochopnego, jak wówczas mniemałem – że poboczne głównej drogi stanowej nie jest odpowiednim miejscem dla dwóch pięciolatek.

Niektórzy łąpią bakcyła podróŜowania. Inni się z nim rodzą. W moim przypadku choroba ta – o ile prawidłowo rozpoznaję jej symptomy – po przerwanej ekspedycji z Drew uległa remisji na wiele lat. Ponownie zaatakowała mnie dopiero, kiedy ukończyłem college. Bardzo pragnąłem zwiedzić świat, oczywiście najlepiej na cudzy koszt. Ale jak to zrobić? Nie miałem żadnych umiejętności, które mógłbym sprzedać, dysponowałem jedynie skarłowaciałym poczuciem moralności oraz posępnym usposobieniem. Postanowiłem więc zostać dziennikarzem.

Jako zagraniczny korespondent publicznego radia podróżowałem do Iraku, Afganistanu, Indonezji – do miejsc, w których brakowało szczęścia. Miało to pewien sens. Podświadomie cały czas przestrzegałem pierwszego prawa pisarstwa: pisz o tym, co znasz z własnego doświadczenia. Zatem z notesem w rękę i z magnetofonem zawieszonym na pasku przerzuconym przez ramię wędrowałem po świecie, opowiadając historie smutnych, nieszczęśliwych ludzi. Prawda jest taka, że nieszczęśliwi ludzie, żyjący w obfitujących w nieszczęścia miejscach, są znakomitym materiałem na dobrą historię. Poruszają serca i budzą smutek.

Ale taka praca to prawdziwy koszmar. Zacząłem się więc zastanawiać, co by było, gdybym tak rok poświęcił na podróżowanie po świecie, omijając jednak wszystkie te dobrze znane punkty zapalne, a w zamian poszukując ukrytych, pełnych szczęścia miejsc? Miejsc, w których bez trudu można odnaleźć jeden lub kilka czynników niezbędnych do szczęścia, takich jak pieniądze, przyjemności, duchowość, rodzina albo czekolada. Istnieją tysiące potencjalnych scenariuszy szczęśliwego życia, które gdzieś na świecie ktoś realizuje. Co by było, gdybyśmy mieszkali w bajecznie zamożnym kraju, w którym nie trzeba płacić podatków? Co by było, gdybyśmy żyli w kraju, gdzie niepowodzenie jest jednym z dopuszczalnych rozwiązań? Co by było, gdybyśmy mieszkali w państwie o tak rozwiniętej demokracji, że do urn wyborczych trzeba by chodzić po siedem razy do roku? A co by było wówczas, gdybyśmy mieszkali w kraju, w którym zniechęca się ludzi do nadmiernego myślenia? Czy wtedy bylibyśmy szczęśliwi?

Usilnie chciałem znaleźć odpowiedź na to pytanie, rezultatem zaś tego ewidentnie idiotycznego eksperymentu stała się niniejsza książka.

Urodziłem się w roku „uśmiechniętej buźki”: w 1963. Wtedy właśnie pewien grafik z Worcester w stanie Massachusetts o nazwisku Harvey Ball narysował wszechobecną dzisiaj, uśmiechniętą, żółtą twarzyczkę. W początkowym założeniu dzieło to miało rozweselać ludzi pracujących w pewnej firmie ubezpieczeniowej, ale z czasem stało się symbolem zwiewnego, wybitnie amerykańskiego szczęścia.

Rozradowana buzia nakreślona przez Balla nigdy jakoś do mnie nie przemawiała. Nie czuję się osobą szczęśliwą i nigdy taką nie byłem. Moim ulubionym bohaterem książkowym z dzieciństwa był wiecznie markotny Kłapouchy z *Kubusia Puchatka*. Przez większą część dziejów ludzkości byłbym uważany za osobę normalną, szczęście bowiem, w tym życiu i na tym świecie, przez większość naszej historii stanowiło nagrodę zarezerwowaną dla bogów i garstki wybrańców. Jednak w obecnych czasach uważa się, że każdy może – a nawet powinien! – je osiągnąć. Dlatego też i ja, i miliony innych ludzi, cierpimy na współczesną chorobę, którą historyk Darrin McMahon nazwał „zgrozotą wynikającą z braku szczęścia”. Przy czym wcale nie jest to zabawne.

Podobnie jak wielu innych próbowałem pracować nad tym aspektem życia. Nigdy nie natrafiłem jednak na poradnik, który by mi się spodobał. Moja biblioteczka to rosnący, coraz bardziej chwiejny pomnik egzystencjalnego niepokoju, przepełniony książkami, których autorzy twierdzą, że szczęście leży gdzieś we mnie. Według nich, jeśli nie jestem szczęśliwy, oznacza to, że nie kopię wystarczająco głęboko.

Ów poradnikowy aksjomat jest już tak silnie zakorzeniony, że stał się oczywistą prawdą. Pojawia się tylko jeden problem: nie jest on prawdziwy. Szczęście nie leży wewnątrz nas, lecz na zewnątrz. Lub też, by rzec nieco precyzyjniej, granica między „zewnątrzem” a „wnętrzem” nie jest wcale zarysowana tak ostro, jak sądzimy.

Brytyjski filozof Alan Watts podczas jednego ze swoich wykładów na temat filozofii Wschodu użył następującej analogii: „Jeśli narysuję okrąg, większość osób zapytanych o to, co widzi, odpowie, że narysowałem okrąg, koło lub piłkę. Mało kto powie, że narysowałem dziurę w ścianie, gdyż większość myśli najpierw o tym, co wewnątrz, a nie o tym, co jest na zewnątrz. Jednak w rzeczywistości obie te strony są ze sobą połączone – nie można mieć «wnętrza» bez «zewnątrza»”.

Innymi słowy, miejsce, w którym się znajdujemy, ma istotny wpływ na to, kim jesteśmy.

Gdy mówię o miejscu, nie chodzi mi tylko o środowisko fizyczne, ale także kulturowe. Kultura to morze, po którym pływamy – jest tak wszechobecne i tak nieogarnione, że nie dostrzegamy jego obecności,

dopóki z niego nie wyjdziemy. Ma to o wiele większe znaczenie, niż skłonni byłibyśmy sądzić.

Za pomocą języka, którego używamy, podświadomie łączymy geografię z poczuciem szczęścia. Mówimy o poszukiwaniu szczęścia czy znajdowaniu ukojenia, jakby były to rzeczywiste miejsca na mapie świata, które można by odwiedzić, gdyby tylko mieć odpowiednią mapę i umiejętności nawigacyjne. Każdy, komu choć raz podczas wakacji, dajmy na to na Karaibach, przyszła do głowy myśl: „Tutaj mógłbym być szczęśliwy”, zrozumie, o co mi chodzi.

Oczywiście zza kurtyny wszystkich podobnych rozważań wychyla się zawsze zwodnicza i nieuchwytna idea raj, od zamierzchłych czasów mamiąca ludzkość. Platon wyobrażał sobie Wyspy Szczęśliwe, na których szczęście przelewało się niczym ciepłe wody Morza Śródziemnego. Aż do XVIII wieku ludzie wierzyli, że biblijny raj, ogród rozkoszy, Eden, jest realnym miejscem. Przedstawiano go na mapach w miejscu, gdzie Tygrys łączy się z Eufratem, a więc – o ironio! – tam, gdzie dziś znajduje się Irak.

Europejscy podróżnicy, przygotowując się do wypraw w poszukiwaniu raj, uczyli się aramejskiego, języka, którym posługiwał się Jezus. Ja w swoją podróż wybrałem się bez znajomości aramejskiej mowy, ale za to władając innym mało znanym językiem współczesnej liturgii szczęścia, używanym przez nowych apostołów rodzącej się dopiero nauki o szczęśliwości. Do perfekcji opanowałem takie zwroty jak „pozytywny afekt” czy „hedoniczna adaptacja”. Nie wozilem ze sobą Biblii – wystarczyło mi kilka przewodników Lonely Planet i przekonanie, że – jak to ujął Henry Miller – „celem człowieka nie jest miejsce, ale nowy sposób postrzegania”.

W ten sposób pewnego – jak zwykle parnego – dnia w Miami (które dla niektórych ludzi jest synonimem raj) spakowałem swoje bagaże i wyruszyłem w podróż, o której z góry wiedziałem, że jest skazana na niepowodzenie. Wyprawa była równie głupia, co ta, którą podjąłem w wieku pięciu lat. Jak pisał Eric Hoffer: „Poszukiwanie szczęścia jest jednym z istotniejszych źródeł jego braku”. W porządku. I tak już jestem nieszczęśliwy. Nie mam nic do stracenia.